ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. listopada, Nr 45. roku 1844.

Siedziba Woltera.

Byłto piękny dzień marcowy, wesołe słońce wiosenne wywabiało swoim promieniem fijołki i jaszczureczki, gdym dojeżdżał do Ferney, téj zamierzchłéj teraz przestrzeni meteoru, który tu niegdyś tak spaniale świécił. — Chcąc się udać z Genewy do Ferney, — właściwie pisze się Fernex, podobnie jak Bernex, Gex, Bex, Chamounix, a nie »ny«, jak zwyczajnie na mapach czytujemy — przebywa się w mieście rzekę Rodan pięknym, nowozbudowanym mostem »*Pont des Bergues*,« obok którego leży wyspa Jana Jakóba Rousseau — a potém wsiada się do jednego z owych małych wózków, które zawsze przy bramie *Cornovin* w pogotowiu stoją, i z całą okolicą fernejską dokładnie są obeznane. Jedzie się więc drogą do Francyi, w dawną krainę *pays de Gex,* należącą niegdyś do Burgundyi, obecnie zaś do departamentu *de l'Ains.* Nieznacznie wznosi się droga coraz wyżéj, i jest — osobliwie przy pięknym dniu wiośnianym — jadąc tym małym wesołym wózkiem, którym zazwyczaj równie wesoły chłopak powozi — tak piękną i zajmującą, iż się mimowolnie dusza raduje. Zbliżamy się do wielkiéj plebanii Grand-Saconnex, zkąd się cudowny widok na miasto, jezioro, brzegi Rodanu i szczyt Mont-Blanc otwiéra. Z pobliskiéj góry Salève sięgamy nierównie daléj wzrokiem, na znacznie bowiem wyższém znajdujemy się stanowisku, i widzimy całą krainę u nóg naszych. Tu jednak na téj wyżynie pod Saconnex, jesteśmy jeszcze sami częścią obrazu i uczuwamy niejako rodzinnodomowe przywiązanie do téj doliny, któréj powabne i majestatyczne zarysy rozciągają się aż po górę na któréj stoim, i wznoszą się aż do naszego serca. Jakiż tu błogi spokój wokoło, jak chętnie i mile poddaje się ta wzniosła i obfita natura przeistoczeniom cywilizacyi, uprawy, skrzętności ludzkiéj! Jak wesoło wygląda rozrzucony po téj całéj krainie rój pięknych wiosek, miast, dworków, winnic; a z jaką rodzicielską powagą wznoszą się ponad tę lekką okrasę teraźniejszości, owe stare, niebotyczne góry ze swémi lodowcowémi szczytami, które o tyle wieków stanęły tu wcześniéj od téj całéj ludzkiéj kultury, i tyle ją jeszcze wieków późniéj przetrwają! Bo przejdą pokolenia jedne po drugich, znikną z ziemi ich ślady, ale Mont-Blanc nie zniknie!

Człowieka wielkość głęboko westchnęła,
Gdy byt swój z bytem tych słupów zmierzyła,
Spojrzawszy na te ślepéj siły dzieła,
Gdzież po niéj pamięć.. ? Jak gdyby nie była! —

Na szczęście nie byłem sam w karyjolce lecz jechałem z jakąś damą, a będąc obcym w tych stronach, o czémże było rozmawiać z Fernejanką, jeźli nie o Wolterze? Otóż ta dama utrzymywała jako rzecz niewątpliwą, iż staremu naszemu filozofowi, który niecierpliwym spadkobiercom zbyt długo na swoją śmierć czekać kazał, a przytém miał zwyczaj zażywać opium co wieczór, aby nerwy do snu przymusić — utrzymywała mówię, że staremu fernejskiemu filozofowi jednego wieczora tak mocną porcyję opium zadano, iż się już więcéj nie przebudził. Moja towarzyszka była nawet dość śmiałą wymienić rękę téj osoby, która mu ten napój podsunąć miała, rękę kobiéty, która mu była krewną i którą on dobrodziejstwy obsypał, — ale temu wierzyć nie można.

Sąto zwyczajne plotki następnych czasow. Wolter był bardzo stary i nie dziw też że umarł. Owszem, jeźli tu się czemu dziwić wypada, to raczéj temu, iż podobny człowiek jak Wolter, mógł żyć do tak późnego wieku. Wychowany w czasach największéj zniewieściałości, spędziwszy młodość śród wyuzdanéj rozpusty rejencyi Filipa orleańskiego, mając głowę nabitą rojem niespokojnych, wielkich, sceptycznych myśli, przytém pijąc codziennie kawę, i nie będąc zapewne wolnym od tego co nasze pokolenie *bolem ludzkości* (u Niemców *Welt-schmerz*) nazywa, a do czego ów jasnomyślący filozof miał większą niezawodnie przyczynę, niźli niejeden z naszych młodych poetów; wreszcie nieustannie pracując umysłowo i przygnieciony sławą — pytam się, jak można śród takich okoliczności dożyć prawie lat dziewięćdziesięciu? A przecież żył on tak długo. — Zaraz za wzgórzem pod Saconnex przebywamy granicę kantonu i stajemy na ziemi francuzkiéj; lubo już i Genewa tylko imieniem do Szwajcaryi należy, swoim zaś językiem, obyczajem i sympatyjami jest zupełnie krajem francuzkim. Nareszcie przyjechaliśmy do miasteczka Ferney, gdzie moja towarzyszka — która podobnoś małżonką jednego z tutejszych najznakomitszych kupców albo bankierów była — po wzajemném obsypaniu się komplementami, pożegnała się ze mną.

Lubię bardzo zdybywać się w podróżach lub wycieczkach z takiemi wszystkowiedzącémi a wielomownémi kobiétami, i jestem dla nich niewyczerpany w oświadczeniach grzeczności, chociaż ztémwszystkiém nie wierzę ani trzeciéj części z tego wszystkiego, co mi opowiadają. Założona przez Woltera kolonija Ferney, tworzy jedną długą ulicę, składającą się z mnóstwa dziwno zbudowanych domów i budynków, które poniekąd cechę feodalną mają, a swoją niezwykłą formę zapewne jeszcze od architektów Woltera otrzymały. Jeźli zaś pochodzi od niego i owa schludność, czystość i ów pozór dobrego bytu, jakiego zdaje się tutejsza osada używać, a do jakiego nasz filozof, uważający Ferney za swoją kolonię, niezawodnie węgielny kamień położył — tedy należy to poczytać za daleko większą zasługę, niż wystawienie owych osobliwszych budynków, z których jeden śród miasteczka, do starodawnego zamku podobny, a zapewne na mieszkanie rządzcy przeznaczony, grozi już prawie upadkiem. Bardzo ładnie i kształtnie zbudowany, lecz nadto jeszcze nowy kościoł, aby czasów Woltera sięgał, stoi w pobliżu owego domu, a idąc tamtędy właśnie podczas wychodzenia uczniów ze szkoły, miałem przyjemność widzieć całą młodzież miasteczka naprzeciw mnie tłumem wybiegającą. Lubię bardzo ten widok, kocham i poważam dzieci jako naszą potomność, przed któréj sądem niegdyś nasze czyny staną. Gdzie widać ładne i żwawe dzieci, tam się muszą i szczęśliwi rodzice znajdować, inaczéj być nie może. A dzieci fernejskie były wszystkie ładne, swawolne, głośne; ani jednego pomiędzy niemi źle lub nieczysto ubranego nie widziałem. Jeźli i to jeszcze, tak często łajany filozofie, jest twoją pamiątką — pomyślałem — tedy możnaby ci wiele za to przebaczyć. Te róże są najpiękniejsze, ze wszystkich jakie mogą kwitnąć na twoim grobie. A od owego czasu, gdyś jednego poranku zapomniał się przebudzić — jak mówią w skutek zbyt mocnéj porcyi opiatu, którą cię twoja synowica, pani Dénis, uraczyć miała — jest to już czwarte lub piąte pokolenie; nie byłożby to błogosławieństwem? — i miałożby twoje serce, jeźli ono istotnie czuło miłość bliźniego, przeczyć istności Boga? Nie wierzę temu.

Na samym północnym końcu miasteczka zwraca się droga na lewo ku cienistéj wysokich drzew alei, która wiedzie do zamku. Mówmy przeciw tym prostym rzędom drzew co chcemy; są one przecież w najściślejszéj harmonii z architektonicznym stylem francuzkich zamków z 17go lub lub 18go wieku, tak dalece, że sobie prawie żadnego bez alei starych lip lub kasztanów wyobrazić nie można. Są one jak przemowa lub wstęp do dzieła; tylko zwyczajne książki zwykle bez przedmów na świat wychodzą, podobnie jak zwyczajny dóm mieszczański bez żadnéj wcale wystawy, nagiemi tylko wznosi się ściany; chociaż i takie domy mają po-

wszechnie przynajmniéj jaki ganeczek lub ogródek pod oknami i tém chcą sobie ująć przechodniów; stary zaś zamek potrzebuje koniecznie majestatycznéj alei, któraby nas uroczystą czcią przejmowała, zanim jeszcze do środka przystąpimy.

Przybywszy u końca alei, postrzegamy w głębi dużego, okrągłego dziedzińca, niewielki skromny budynek z szarego piaskowca o dwu piętrach, nierównie mniejszy od wielu mieszczańskich domów w Genewie, lecz całym swoim architektonicznym kształtem zaświadczający, iż jest zamkiem, stołeczną siedzibą dziedzicznych panów, i oddawna mieszkaniem zamożnych rodzin. Smętna cisza i spokojność panują wokoło zamku: po lewéj ręce widać zpoza krzaków melancholijny kościółek, który Wolter Bogu (*Deo*) wystawił, lubo, jak sądzę, pan Bóg nie wielkie w tym hołdzie znalazł upodobanie. W téjże saméj stronie, nieco daléj, stoi domek starca, który zapewnia, iż był niegdyś ogrodniczkiem Woltera i często z nim rozmawiał. Odwidzającym go osobom pokazuje ten stary sługa w okopconéj izdebce swojéj, z niejaką natrętnością i niemiłą przesadą, mnóstwo tak nazwanych osobliwości, które on, w patynkach chodząc, ze wszystkich kątów i szafek swojego mieszkania zwleka, aż wreszcie do najważniejszego schowku przystąpi i szufladę ogromnego stołu otworzy, gdzie wszelka, jaką sobie tylko pomyśléć można, własność poety w dość porządnie utrzymywanych przedziałkach jest przechowana. Znajdują się tam tabakiery poety, jego peruka, pierścienie i sprzążki od trzewików; jego autografy, rysunki, ryciny a nawet drukowane na wielkich arkuszach anegdoty, które ten były ogrodniczek za ciężkie pieniądze panom cudzoziemcom sprzedaje.

Jakkolwiek pomiędzy témi osobliwościami istotnie niejedna historyczna relikwija przechowywać się może, nie mogłem przecież patrzeć z przyjemnością na tę całą staroświecką tandytę, a najmniéj na jéj teraźniejszego właściciela, który ją z taką ugrzecznioną bezczelnością pokazywał. Raz tylko wyświadczyłem mu zaszczyt moich odwidzin, lecz ani razu więcéj. Że peruka, którą na widok wystawia, nigdy jenijalnéj głowy Woltera nie pokrywała, nie podlega najmniejszéj wątpliwości — ale i cóż zresztą na tém zależy? Stara, sześćdziesiątletnia fryzura włosów — ktokolwiek ją niegdyś nosił, sprawia zawsze niemiłe wrażenie na patrzących.

Pomiędzy anegdotami, które ten starzec po swoim dawnym panu zebrał i dla pożytku ciekawych *messieurs les étrangers* swoim nakładem w Genewie drukować kazał, »co go nie mało kosztowało« jak nigdy napomknąć nie omieszka, znajdują się niektóre bardzo dowcipne, dotyczące po większéj części wojny, w jakiéj Wolter żył nieustannie z sławnym angielskim dziejopisem Gibbonem, bawiącym wówczas w Lusannie. Gibbon chciał koniecznie zabrać znajomość z fernejskim filozofem, a ten z niewiadomych mi przyczyn, nie chciał go żadnym sposobem na oczy widziéć. Z tego powodu rozpoczął Anglik oblęgać formalnie Ferney, i zadawał sobie wszelką pracę aby tylko być przyjętym w domu Woltera. Lecz nadaremnie. Postanowił więc użyć na ten koniec wpływu swoich genewskich znajomości i udał się do sławnego lekarza Tronchin, który był przyjacielem obudwóch. Ale i to napróżno! Nareszcie — ledwie temu wierzyć można, lecz owe anegdotowe pamiętniki starca zaświadczają o tém wyraźnie — przybył Gibbon bez dalszych korowodów do Ferney, i przyjęty przez synowicę Woltera, panią Dénis, jak tylko można było w podobnych okolicznościach być przyjętym, usiadł sobie w dużém poręczowém krześle w salonie i zawołał: »Otóż tu jestem. Jeźli się ze mną widziéć nie zechce, będę mu tu siedział do skończenia świata.« Odesłał wszystkich swoich ludzi wraz z powozem i końmi do Lusanny, o 16 mil drogi od Ferney oddalonéj. Pani Dénis była w niemałym kłopocie. Nadeszła noc i trzeba było przecież dać natrętnemu gościowi co jeść i pić koniecznie, a nawet pokój do przenocowania ofiarować. Co się też stało. Zaproszono go na wieczerzę z damami domu, ale cóż z tego, kiedy nazajutrz rano znowu siedział w owém krześle w salonie i nie pozwalał gospodarzowi wyjść z pokoju —

»Alež mój panie,« przemówiła nareszcie pani Dénis z gorzkim uśmiéchem, »pańska wizyta jest w najlepszym razie nieco zbyt długa, i zawadza monseigneurowi, jak mam honor szczérze się panu przyznać.« — »Nic to nie szkodzi, moja pani,« odparł Anglik, »ja mam honor pani oświadczyć, iż jestem wyższym nad podobne drobnostki. Przybyłem tu w celu widzenia pana Woltera, i nie ruszę się z miejsca, póki tego celu nie dopnę.« Tak więc trzy dni przesiedział na czatach. Na trzeci dzień wieczorem otrzymał bilet ręką gospodarza pisany, zawiérający te słowa:

»Mój panie! Don Quixote miał gospody za zamki, pan zaś masz mój zamek za gospodę.«

Nato odpowiedział mu Gibbon następnémi wiérszami:

»En ces lieux je comptais voir le Dieu de génie,
L'entendre, lui parler et m'instruire en tout point:
Mais comme Lucullus, à qui je porte envie,
Chez vous on boit, on mange, et l'on ne vous voit point.«

(Rozumiałem niestety, że ujrzę w tym domu
Słońce naszego wieku, boga wiecznéj sławy—
Tymczasem jak Lukullus — ten bóg niełaskawy
Daje jeść, pić, lecz nie da widziéć się nikomu.)

Przyznam się że nie widzę żadnego dowcipu w tych wiérszach, jako téż i w całém postępowaniu pana Gibbona. Ale na tém jeszcze nie koniec, owszem co następuje, jest jeszcze gorsze. W skutek jakiegoś podstępu udaje się wreszcie Anglikowi omylić Francuza i przypatrzéć się Wolterowi. Teraz dopiéro oburzony widokiem szkaradnego oblicza sławnego filozofa, woła Gibbon: »Widziałem cię więc Wolterze, lecz zaprawdę, nie mogę powiedziéć abyś był pięknym!« Wolter słyszy te słowa i posyła swojego sekretarza do Gibbona, aby mu »za widzenie źwiérza (*la bête*)« 12 *sous* zapłacił. — »Słusznie się należy,« odpowiada Anglik, »oto są 24 *sous*; proszę powiedziéć swojemu panu iż płacę za dwa razy, i że przyjdę jutro obaczyć go powtórnie.« — »To diabeł nie Anglik!« rzekł Wolter z swoim sardonicznym uśmiéchem, wysłuchawszy to poselstwo, »jest on jeszcze złośliwszym ode mnie; muszę tedy broń złożyć i pokój zawrzéć, nic nie pomoże. Idź, zaproś go jutro na obiad.« A od tego czasu byli obaj zacni mężowie najlepszymi przyjaciołmi.

Wchodząc do zamku, pomimo wrażenie jakie poprzednia anegdotka na nas zrobiła, uczuwamy ową głęboką cześć, którą nas zawsze przybytek sławnego i wielkiego męża przejmuje. Pokoje do których wstępujemy, nie są bynajmniéj wielkie, lecz zalecają się ową pańską, nieprzesadzoną, miłą wytwornością, która jest właściwą cechą architektonicznego stylu *de la renaissance*. Zamek fernejski przeszedł już od czasu śmierci Woltera w trzecie czy czwarte ręce; lecz każdy z tych kolejnych właścicieli szanował historyczny urok wewnętrznego urządzenia tegoż zamku. Teraźniejszy jego posiadacz, margrabia de...., mieszka tutaj z familiją. Ale wszystkie dolne pokoje Woltera, tudzież jego sypialnia i salon, w którym Gibbon trzy dni naszego filozofa w owém poręczowém krześle oblegał, *si fabula vera*, wszystko to zostaje od maja 1778 niezamieszkane i w tymże samym stanie, w jakim za czasów Woltera było. Niemożna jednak zaradzić temu, aby po 60 latach kolory po części nie spłowiały, a niezamieszkane od tak długiego czasu miejsca swoję pierwotne barwę domowitości zachować mogły. Przeto i pokoje Woltera starły już dawno z siebie tę barwę, i mimo brunatnego parkietu w salonie, mimo kosztownych mebli, półwyzłacanych stołów, portretów i malowideł na gzymsach, łóżka w sypialnym pokoju i urny, w któréj znajdowało się serce filozofa, nim je do Paryża wywieziono, wydaje się wszystko puste, próżne, martwe jak pan, który tu niegdyś mieszkał — jak ciało, bez duszy.

Byłem sam jeden; służący który mię oprowadzał, odszedł w posługę swego państwa, które właśnie w górnych pokojach przy stole siedziało; słyszałem brzęk talerzy, gwar ich przyobiedniéj rozmowy, i pomyślałem sobie, iżby daleko lepiéj było, gdybym tam był usiadł razem z nimi, przy wesołéj, żywéj biesiadzie, niż miał chodzić tutaj po tych opustoszałych pokojach, karmiąc się zwiędłemi pamiątkami męża, który przytém bynajmniéj do moich historycznych ulubieńców nie należy. Ulubieńcy historyczni powinni miéć wcale inną

fizyjognomiję niż ją miał Wolter, i niepowinni nosić peruki. Lubię także aby nie tak długo — aż lat dziewięćdziesiąt żyli, lecz w młodości, a przynajmniéj w kwiecie męzkiego wieku, i nie w skutek zbytniéj porcyi opium, lecz w spełnieniu śmiałego czynu, ze świata zeszli.

Byłoby przykro nie widzieć obrazu Fryderyka II w gabinecie Woltera, jakoż znajduje on się tam istotnie. Postrzegamy równie i portret Katarzyny II, a oba te obrazy przywoływały w pamięć poecie w każdéj chwili jego dostojnych przyjaciół i wielbicieli na północy, gdyby ich mógł był kiedy zapomnieć. Oprócz tego wiszą tu jeszcze wizerunki Chiltona, Newtona, wielkiego artysty dramatycznego Lekaina i samegoż Woltera. Wszystko to bardzo piękne, podobnież jak i słowa, wyryte na skromnéj urnie z czarnego marmuru, w któréj podług ostatniéj woli poety, miało być zamknięte jego serce, w istocie złożone téż zostało: »Moje cienie są pocieszone, gdyż moje serce spoczywa pomiędzy wami.«

Inne napisy dowodzą już większéj próżności, która była niezaprzeczoną wadą Woltera a w jednym obrazie *al fresco*, malowanym pod jego własném przewodnictwem, przez umyślnie na to zamówionego artystę, najwyższy stopień osiągnęła. Ponad miejscem na którém urna stoi, znajdują się różne napisy, z których jeden opiéwa: »Mój duch jest wszędzie a moje serce tutaj.« Sam obraz zaś przedstawia poetę, gdy swoję właśnie co ukończoną Henryjadę bogowi Appollinowi podaje. Za Appollinem jaśnieje świątynia sławy, a ku niéj nlatuje bogini sławy, wskazująca dość materyjalnie palcem na zwitek papiéru zawiérający sławioną epopeję; różni zaś bohatérowie i bohatérki tego poematu, otaczają swojego twórcę w postawach uwielbienia, podziwu i uniesienia, podczas gdy nieszczęsna tłuszcza przeklętych potępieńców, to jest nieprzychylnych krytyków, (weźcie sobie to na uwagę panowie recenzenci!) spada na łeb do piekła a zawiść i zazdrość, dwie nie nader zajmujące postacie, leżą u nóg poety, wyziewając tam nienawistnego ducha. I takieto niedorzeczne obrazy mógł tak wielki człowiek wymyślić i ciérpieć w swoim pokoju? Niechajże to kto pojmie!

I gdyby w ogólności nie było w Ferney nic więcéj do widzenia, jak tylko te pokoje z ich dwuznacznémi ozdobami, nie mogłoby się nikomu szczérze tutaj podobać; zasmucona dusza musiałaby zwinąć skrzydła i ubolewać nad słabościami tak wielkiego człowieka. Lecz tam na dworze, w ogrodzie Woltera, poza zamkiem, unosi się znowu dusza i znachodzi tego samego wielkiego męża, któregoby rada była tu widzieć. Cały ogród ze swojémi alejami, szpalerami, starofrancuzkiémi altanami, ze wszystkiemi swojémi pięknémi ustroniami i małym stawem, ciągnie się wzdłuż pogórza, które niezawodnie było powodem, iż Wolter tak mocno lubił Ferney. Z każdéj arkady cienistego szpaleru, którego jedna strona na podmurowanym brzegu tegoż pogórza spoczywa, otwiéra się przepyszny widok ku Saconnex, tylko jeszcze daléj poza to miejsce sięgający, tylko jeszcze nieporównanie spanialszy niż owy, jaki nam się z drogi pod Saconnex przedstawił. Tam w dole błyszczy majestatyczne jezioro, tam w głębi piętrzą się majestatyczne góry. Nieraz zapewne przechadzał się tędy Wolter, wystrojony w swoim jedwabnym garniturze, w ogromnéj peruce, bawiąc się tabakierą Fryderyka w rzęsisto pierścieniami okrytych palcach, — i ani pomyślał, że ów mały w krzakach ukryty chłopiec, przywłaszczy sobie kiedyś te pierścienie, tę perukę, tę tabakierę, tę złotem okutą laskę, na któréj się opiérał, i będzie to wszystko jako przykry zgrzybiały starzec, dziwiącym się cudzoziemcom, za pieniądze pokazywał!

Ogród, jak już wspomniałem, jest bardzo piękny, a mała fontana, w któréj złotawe rybki igrają, gwarzy swym szmerem o Wolterze i opowiada potomności, iż ten strojny mędrzec często się w jéj krzysztale przeglądał. Mała prosta fórtka prowadzi na przeciwnéj od zamku stronie, z ogrodu w pole, na łąkę, w któréj głębi widać folwark z różnémi gospodarskiémi budynkami, mieszkaniem robotników i stajniami. Nie mogłem sobie téj przyjemności odmówić, aby nie wyjść tą fórtką w pole i przejść się po téj łące, gdzie hoże, lekko opięte dziewczęta, głośno i wesoło rozmawiając, właśnie przy robocie były. Wiejska francuzka dziewczyna, jeżli tylko nie jest bardzo brzydka lub już podstarzała, bywa zawsze pełna swobodnego wdzięku, podobna do gazelli, wszędzie wesołość i życie rozszérzająca.

Ucieszyłem się mocno, gdyż chciałem za kilka dni udać się w dalszą podróż w głąb Francyi. Tymczasem otrzymałem zaproszenie do Lusanny, ani od Gibbona, ani od innego sławnego męża, lecz od przyjaciela, który jednak kiedyś może być podobnie sławnym człowiekiem. Opuściłem tedy Ferney, a że pogoda sprzyjała, wróciłem piechotą do Genewy. W drodze dopiéro postrzegłem moję słabość, żem w ogrodzie Woltera kilka listków był uszczknął i w pamiątkę przy sobie zachował. Rozgniewany tą recydywą sentymentalności, chciałem je wyrzucić, lecz mimo to, zatrzymałem je przecież, i mam je dotąd jeszcze. Tak chcąc

niechcąc nie można żadnym sposobem pozbyć się pamięci starego Fernejczyka! — »*Il enrichit Ferney, il éclaira la terre.* (Zbogacił Ferney, oświecił ziemię.)« To było godłem starego ogrodniczka. Może miał słuszność, a może się téż mylił; nie tak to łatwo wiedzieć, w jaki sposób ziemię oświécić można!

Anglija i Anglicy.

Pewien »nieznajomy« podaje w feuilletonie dziennika »*la Presse*« następnjącą charakterystykę tegoż kraju i jego mieszkańców: »Kto widział maszyny, ten widział Angliję. Maszyny są tam żyjącemi tworami a ludzie są maszynami. Wszystko co można nazwać jenijuszem, fantazyją, działalnością i życiem, znajdziesz tam w samych tylko maszynach. Dawniéj nie wiedzieli Anglicy co mają robić ze swojém życiem, więc się wieszali, topili, lub sobie w łeb strzélali; dziś wkładają swoje życie w maszyny. Wszelkie myślenie i wszelka czynność zamieszkała teraz w kółkach, cylindrach, kołowrotach i t. p. które się nienstannie kręcą i obracają, podnoszą i spadają, przędą i tkają, haftują, tłoczą, ryją, ciosają. Już teraz nawet posągi i domy tworzą się mechanicznym sposobem. A skoro tym żarłocznym maszynom nie stanie już bawełny, konopi, drzewa, żelaza, ołowiu i kamieni, natenczas poddają się sami Anglicy ze swémi żonami i dziećmi, ze swémi końmi, wołmi i kogutami podobnéj fabrykacyi. Ich ogromne konie pociągowe z owémi słupiastémi nogami, jakotéż ich długie, suche bieguny wyścigowe, stają się tém czém są, dopiéro w skutek szczególnego obchodzenia się z niemi. W skutek takiéjto fabrykacyi zamieniają się ich woły w chodzące rostbefy bez rogów i kości, któreby zaraz na rożen wetknąć można. Dżokeje przeciwnie, stają się przez różne operacyje, którym się poddawać muszą, tak nadzwyczajnie chudymi i lekkimi, że ledwie temu uwierzyć można; są to właściwie tylko chemiczne fabrykaty, które wielkich trudów i starań wymagają zanim dójdą do téj lekkości, jakiéj do biegania mieć potrzeba. Zaś ludzie, przeznaczeni do boxowania, zaprawiają się na ten koniec innym wcale sposobem, który ich przyzwyczaja znosić bez wielkiéj boleści uderzenie w twarz pięścią, ważącą przynajmniéj cztéry cetnary. Lanfrom odejmuje się chemicznym sposobem ich zbytecznego ciężaru i nadaje mechanizmowi ich nóg taką obrotność, że mogą niemi podług upodobania i wprzód i wzad bieżeć. Płuca nurków przeistaczają się w powietrzną pompę, która im pod wodą więcéj powietrza spożywać nie dozwala, jak tylko tyle, ile go same ryby spożywają. Z kogutami nareszcie przedsiębierze się manipulacyja, która ich tylko do walki zdolnémi czyni; wyuczony kogut nie czuje ani dzióba ani ostrogi swojego przeciwnika, ma się za niepokonanego i walczy z tém przekonaniem tak długo, aż póki z unużenia martwy nie padnie. — Podziwiamy sprawiedliwie klasyczną piękność Angielek, które w tym względzie mają daleko większą wyższość nad Francuzkami. Tę piękność winne są córy Albionu jedynie cywilnemu kodexowi. W Anglii bowiem wydają się panny za mąż bez żadnego posagu. Zupełnie więc naturalną jest rzeczą, że sobie mężczyźni swych towarzyszek życia pomiędzy najpiękniejszémi córami Ewy szukają, a te, z wdzięczności za to iż starémi pannami nie zostały, darzą swoją ojczyznę dziewczętami, które wszystkie mniéj więcéj piękność matki dziedziczą, i oprócz tego bywają jeszcze szurowane i polerowane, jak parkiety lub naczynia miedziane. Gdzie zaś, jak naprzykład we Francyi, kobiéty tylko dla swego posagu są poszukiwane, i gdzie przeto nierzadko najbrzydsze nad najpiękniejszémi na ciele i duchu, zwycięzki wieniec odnoszą — tam oczywiście dzieje się wręcz przeciwnie. Należałoby więc w izbie deputowanych wniosek przedłożyć, mocą którego byłoby zabroniono notaryjuszom, przyjmować posag w intercyzie. Angielki mają wszelkie zalety, brak im tylko życia, wdzięku i nadobności; cała uwaga wszystkich w *Kensington-gardens* i *St. James-park* promenujących *ladies*, jest głównie na ściśle prostopadłe trzymanie się zwrócona. Anglija niéma żadnego zmysłu dla kształtności i kolorów. Wszystko tam czarne i proste. Czarne fraki są szczérze angielskiego pochodzenia. Wróble nawet w Londynie są czarne jak kosy. Wszystkie domy są poczerniałe od pary kamiennego węgla; wszędzie prostopadłe mury bez ozdób, bez balkonów, bez najmniéjszéj wystawy, z największą oszczędnością okien, gdyż każde okno płaci podatek. Słupy przy pomnikach wyglądają jak kominy fabryczne, okna otwiérają się z dołu do góry jak gilotyna; firanki spuszczają z góry na dół; — słowem, wszystko prostopadłe, równoległe, ostrokątne, jak owe niezgrabne, do cylindrów podobne kapelusze, które się z Anglii po całym cywilizowanym świecie rozeszły, albo jak owe twidy i twiny, w których mężczyźni i kobiéty od stóp do głów, równą zupełnie formę mają.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 45ty

i obejmuje: 1) Jak się obchodzić z potrawem. 2) Co trzeba robić z ziemniakami, aby dla bydła były pożywniejsze. 3) O sposobach ulepszenia nawozu owczego. 4) O lampie gazem spirytusowym opalanéj, wynalazku pp. Ditmar w Wiedniu. 5) Ciąg dalszy o środkach zaradczych przeciw opilstwu klas niższych po wsiach i miasteczkach naszego kraju w nr. 33cim Tygodnika z r. b. zamieszczonych. 6) O sposobie przymuszania drzew owocowych do rodzenia. 7) Korespondencyja z Liwerpoolu 28 września r. b. O zbiorach tegorocznych w Anglii. 8) Raporta handlowe od 28 października do 4 listopada r. b. 9) Uwiadomienie o dalszém wychodzeniu Tygodnika rolniczo-przemysłowego, zniżeniu przedpłatni z 10 na 8 zr. 24 kr. w m. k. i innych zobowiązaniach redakcyi.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 23ci i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Przestroga, wiérsz przez A. Kłobukowskiego. 2) Herbata, przez D. Magnuszewskiego. 3) Uwiadomienie.

Towarzystwo wstrzemięźliwości w północnej Ameryce. Do krajów w których towarzystwa wstrzemięźliwości istotne cuda sprawiają, należy także część Zjednoczonych stanów, Massachusetts. Opłacany tamże podatek na ubogich wynosił jeszcze przed kilką laty sumę 200.000 dollarów. Gdy towarzystwa wstrzemięźliwości działania swe rozpoczęły i wkrótce się upowszechniły, spadła ta suma w roku 1841 na 130.000, w roku zaś 1843 na 41.000 dollarów! W przeciągu tego czasu poprawiło się tam nie mniej jak 30.000 nałogowych opilców, i stało się z żebraków, pobierających jałmużnę ze wspomnionego podatku na ubogich, pracowitymi ludźmi; przez co nie tylko taż sama nieszczęśliwa klasa, lecz zarazem i opłacająca podatki ludność, znacznie zyskała. W domu ubogich w Massachusetts znajdowało się jeszcze przed 3 laty 469 ubogich, którato liczba odtąd na 11 spadła, tak, iż miasto Massachusetts uznało się spowodowanem, z wdzięczności dla towarzystw wstrzemięźliwości wyznaczyć im na ich cele rocznego dochodu 500 dollarów. Podobne piękne skutki przyniosła sprawa wstrzemięźliwości już także i w Europie. Wiadomo jest jakie cuda sprawił o. Mathews w niektórych bardzo osławionych hrabstwach irlandzkich, gdzie teraz, jak słychać, ani jednego pijaka już nie obaczysz.

Elektryczność w kawie. W Londynie widziano następujący ciekawy experyment, okazujący elektryczność w świeżo zmielonej kawie. Parą pędzony młynek mełł kawę, która w wielką beczkę spadała. W beczce tuż pod spadającą zmieloną kawą, znajdowała się miedziana łopatka. Trzymając tedy żelazny pręcik w odległości cala od miedzianej łopatki, można było postrzedz jak się natychmiast elektryczny połysk z miedzi wydobywał. Przyłożony do żelaznego pręta palec nczuwał jakgdyby ukłócie igłą. Tenże sam skutek okazał się i na ogonie kota, który tym experymentem nadzwyczajnie przestraszonym się zdawał. Zajmującą byłoby rzeczą dochodzić, czy téż i mąka lub tabaka mogą rozwinąć elektryczność, gdyż zarówno tarciu podlegają.

Nowy wynalazek. Dzienniki paryskie donoszą o nowém ciekawém ulepszeniu sztuki drukarskiéj. Niejaki p. Abitzer doszedł sposobu sporządzania czcionek stalowych zamiast ołowianych. Maszyna któréj do tego używa, ma być tak pojedynczą, iż można nią bić przeszło 80,000 czcionek na dzień.

Marszałek Lefèvre i jego żona. Marszałek Lefevre, zdobywca Gdańska, był najprzód prostym żołniérzem a jego żona była praczką. Szczęście i bohatérskie czyny wyniosły go na stopień marszałka i książęcia; jego żona jednak nie mogła nigdy pozbyć się swoich dawnych zwyczajów i odgrywała w najśmieszniejszy sposób narzuconą sobie rolę wielkiéj damy. Ztémwszystkiém równie on jak i ona, oboje zachowali swoją dawną rzetelność, wdzięczność i dobroduszność. Jednego razu odprawił był odźwierny pewnego starego oficera, który z smutną miną bilet zostawił. — »Ach, patrzaj moja kochana, mój dawny major chciał nas odwidzić!« zawołał marszałek spoglądając na bilet. »Co!« wykrzyknęła z żywością księżna. »Nasz stary major? I nie wpuszczono go!... Łotrze!« ofuknęła szwajcara. »Idź zaraz, szukaj majora, lub cię odpędzę! Wiész ty, że gdyby nie on, nie bylibyśmy dzisiaj tém, czém jesteśmy!« Długo musiał szwajcar szukać majora nim go nareszcie znalazł. Marszałek i jego żona przyjęli starego wojownika jako dawnego przyjaciela. »Wczémże możemy panu być usłużnym?« zapytała nakoniec księżna. Staruszek trudnił się już długo dawaniem lekcyj i życzył sobie otrzymać pewną podrzędną posadę przy uniwersytecie paryzkim. — »Spuść się pan tylko na mnie!« pocieszała go księżna. Jeszcze tego samego dnia mówiła o tém z cesarzową; mówiła téż z wielkim mistrzem uniwersytetu, Fontanes; lecz tam i tu zapomniano, a stary major nie otrzymał pożądanego miejsca. Wkrótce potém kazała cesarzowa prosić księżnę na partyję. »Powiedzcie jéj, niech mi da czysty spokój! Dla czegoż się nie starała, aby major mojego męża miejsce otrzymał!« była odpowiedź księżny. I była bardzo skuteczną. Gdy ją bowiem, lubo w nieco złagodzonych wyrazach, cesarzowéj Jozefinie doniesiono, nie upłynęło dni kilka — a major otrzymał inne miejsce w biurze ministra wojny.

Sybir. Pewien niemiecki pisarz mówi żartobliwie o Sybirze w ten sposób: »W całéj Europie nie ma nic przyjemniejszego nad spacery po Irkucku, a w okolicach Jakucka, przybiéra natura postać jeszcze piękniejszą. Przy ujściu Leny i Jenizeja cała poezyja życia wyzionęła ducha w majowéj woni kwiatów: ochłody *a la glace* bywają tam wszędzie bezpłatnie podawane. Jeżli brzydko na dworze, idzie się dla rozrywki na polowanie; a ubiwszy lisa, kunę lub wilka, oddaje się tylko skórę w upominek za sybirską gościnność, mięso można zatrzymać dla siebie. Aż po Olent i Anadirz znajdują się w tamecznych eleganckich kawiarniach wszystkie samojedzkie, tunguzyjskie, kamczackie czasopisma, nawet i »Gazeta petersburska« która w wesołém kole biesiady, chórem odśpiewywaną bywa. Nadane temuż krajowi wyłączne przywileje ściągają tu niezliczone tłumy osadników, a co miesiąca przybywa coraz więcéj mieszkańców!

Rzadkie przykłady miłości u kobiét przytacza pewien Anglik, który przez kilka lat jako kupiec z dzikiemi ludami północnéj i południowéj Ameryki miał do czynienia. W plemieniu Komanchów postrzegł z zadziwieniem kobietę, która podług jego zdania nie mogła być Indyjanką; przemówił więc do niéj po hiszpańsku a jego domniemanie zostało potwierdzoném. Była ona niegdyś porwaną przez dzikich od rodziców, poszła za mąż za jednego z dzikich wspomnionego plemienia i nie życzyła sobie wcale powracać do swéj rodziny. Podobne przykłady mają się bardzo często w tamtejszych stronach zdarzać. I tak naprzykład, porwali byli Komanchowie przed 20 laty córkę jeneralnego gubernatora prowincyi Chilucahua, a ojciec ofiarował im za nią 1000 dollarów wykupnego. Lecz ku

powszechnemu zdziwieniu, nie chciała córka wrócić. Kazała powiedzieć ojcu, że jest już zwyczajem dzikich ludów na licu i reszcie ciała w różne kolory napiętnowaną, że poszła za mąż, i jest już przy nadziei, przez co byłaby daleko nieszczęśliwszą, gdyby musiała wrócić, niż zostając tam gdzie jest teraz.

Motyle. Teraźniejszy francuzki minister marynarki, admirał Mackau, był wprzódy podkomorzym króla Karola X, i uchodził za najukładniejszego dworaka, znanego osobliwie z różnych dowcipnych sposobów, jakiemi sobie umiał coraz bardziéj względy królewskiéj rodziny jednać. Pan minister marynarki jest i dzisiaj bynajmniéj podobnym do owych dzikich marynarzów, coto miotają przekleństwa gorzéj majtków, i przy najmniejszém słówku gniewem się unoszą; jego uprzejma, delikatna i miła powierzchowność okazuje owszem człowieka, który jest stworzony dla dworu i towarzystwa damskiego. Pod poprzedniczą dynastyją byłby niezawodnie wyszedł bardzo wysoko, lecz i pod dzisiejszym rządem osiągnął stopień ministra. Piętnaście może lat temu, był teraźniejszy admirał dopiero kapitanem, lecz posiadał znaczną porcyję ambicyi. Ale jak tu awansować w czasie pokoju? Ta myśl niepokoiła go nadzwyczajnie. Nagle znikł nasz kapitan, a nikt nie wiedział gdzie się podział, gdyż niepowierzył nikomu swéj tajemnicy. Niebyło go przez kilka miesięcy, aż wreszcie wrócił w tryjumfie i przyniósł z sobą zbiór rzadkich i kosztownych motylów. Małżonka następcy tronu lubiła bardzo motyle, a Mackau ofiarował jéj swój zbiór z tak uprzejmą i czułą uległością, iż go prawie bez podziękowania przyjęła. Udając się na wygnanie, wzięła następczyni tronu motyle z soba, gdyż przypominały jéj wierność przywiązanego sługi jéj rodziny. Piérwsze oznaki względów, jakie Mackau od nowego rządu otrzymał, wprawiły dostojną wygnankę w zadziwienie; były szambelan i dworak z motylami, został parem Francyi i wiceadmirałem; używano go do dyplomatycznych poselstw a wreszcie wstąpił do ministeryjum. Teraz już nie podpadało jego przeniewierzenie się najmniejszéj wątpliwości — a ledwie czternaście dni był ministrem, otrzymał jednego dnia zapieczętowaną i mocno owiązaną małą skrzynecskę; kazał ją rozpakować i ujrzał w niéj swój zbiór rzadkich i kosztownych motylów które mu napowrót odesłano. Cóż za trafne napomnienie niewierności i niestałości!

Skutki zazdrości. Niedawno temu wydarzył się w Genui wypadek który dwie najszlachetniejsze rodziny, a z niémi i całe miasto smutkiem napełnił. — Margrabia Giorgio N. kochał signorę Giulię P., najpiękniejszą dziewicę genueńską, którą już w krótkim czasie miał wprowadzić jako żonę do swego domu. Kochał ją zapamiętałą namiętnością, a jego zazdrość oburzała się na najniewinniejsze spojrzenie, które jakikolwiek mężczyzna na jego kochankę zwrócił. Jednego razu przepędził był młody Giorgio kilka dni w swojéj willi, a chcąc odwidzić piękną narzeczonę, wrócił wieczorem do miasta. Przybywszy przed jéj mieszkanie, spojrzał do góry ku otwartemu oknu i obaczył tam Giulię stojącą obok młodego mężczyzny, którego ona w téj chwili czule w czoło pocałowała. Giorgio stanął jak w ziemię wryty i nie ruszył się wprzódy z miejsca, aż póki ów mężczyzna, którego Giulia pocałowała, z domu nie wyszedł. Z początku dał mu spokojnie przejść koło siebie, ale gdy za najbliższym narożnikiem ulicy z oczu Giulii zniknął, rzucił się Giorgio za nim, dognał go i krzyknął: »Stój niegodziwy, i broń się!« Nieznajomy niemiał innéj broni przy sobie jak tylko krótki nóż i ranił nim nacierającego nań margrabię. W téj chwili nadbiegli nato dwaj oficerowie i zbliżyli się do walczących, aby ich rozłączyć. Ale nim się postrzegli, już im wyrwał Giorgio szpady, podał jednę swemu przeciwnikowi a z drugą rzucił się sam na niego. Niedługo trwało, a jeden z zapaśników — nieznajomy — krwią zbroczony padł na ziemię. Oficerowie chcieli przynieść pomoc nieznajomemu, lecz ten już ducha wyzionął. Giorgio uszedł natychmiast po spełnionym uczynku. Powrócił do swojego pałacu, dosiadł konia i pognał do swojéj willi. Tu przeczekał trzy dni — dla niego trzy nieskończone wieki. — Chcąc się dowiedzieć co będą mówić w mieście o tém zabójstwie, po trzech dniach wrócił znowu do miasta i wstąpił do domu narzeczonéj, którą mniemał niewierną. Cały dom zastał w największém zamieszaniu, a ojca Giulii i ją samą w ciężkim smutku. Pyta co się stało i dowiaduje się od ojca swojéj kochanki: iż przed trzema dniami wrócił jego syn z dalekich podróży i został tego samego wieczora na ulicy przez jakiegoś zabójcę zamordowanym. Giorgio stanął jak skamieniały, gdyż poznał, że to on w zaślepionéj zazdrości zabił brata swojéj kochanki. — Opuścił w obłąkaniu ten dom nieszczęścia i wróciwszy do swojego pałacu, zamknął się przed ludźmi. Następnego dnia otrzymał ojciec Giulii list następującéj treści: »Nie możesz mi przebaczyć, gdyż jato byłem, który zapamiętałą zazdrością moją stałem się powodem łez twoich i smutku twego! Wydarłem tobie syna a narzeczonéj brata! Śmierć byłaby dla mnie ulgą; ale ja chcę żyć aby cierpieć; Bóg i ludzie zlitują się nademną, gdy zakończę życie w żalu i pokucie.— Giorgio.« Jeszcze tego samego dnia wstąpił do klasztoru i nie widział go nikt przez rok cały, prócz w dzień świętego Jana, gdy jak trup blady, przechodził z processyją, wraz z innymi mnichami swego zakonu, przez ulice Genui, wzruszając do litości tych wszystkich, co go ujrzeli i poznali.

Pan Morand, znany lekarz w Paryżu, miał przyjaciela, którego pies nogę złamał. Z przyjaźni dla właściciela podjął się p. Morand kuracyi biédnego zwierzęcia i wkrótce zupełnie je wyleczył. Po niejakim czasie, pracując w gabinecie, usłyszał lekarz jakieś drapanie u drzwi. Otwiéra drzwi i widzi z zadziwieniem tego samego psa, którego był wyleczył, prowadzącego z sobą innego, podobnież skaleczonego, który się z wielką trudnością za swoim przewodnikiem wlecze. »Tą razą pozwalam jeszcze,« rzekł Morand z uśmiéchem; »ale na drugi raz, nie przychodź mi więcéj w podobnym interesie.«

Przestraszony chłopek. Pewien prostaczek, który jeszcze nigdy jadącego na żelaznéj kolei wozu nie widział, stał jednego razu w ulewę, pod otwartym deszczochronem koło baryjery i podziwiał z niewymownem zdumieniem nadbiegający właśnie i jakby dziki koń parskający lokomotyw. Jeden z obecnych widząc zadziwienie wieśniaka, przybiegł do niego i zawołał z trwogą: »Na miłość Boga, mój przyjacielu, zwiń co prędzéj deszczochron, aby się lokomotyw nie spłoszył.« Przelękły chłopek odskoczywszy wtył, zwinął z pośpiechem deszczochron i patrzył z bojaźnią na przelatujący lokomotyw.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.